Nr. 7. Niedziela dnia 7. Kwietnia 1878. Rok X.

Wychodzi jako dodatek do *Gazety Narodowej*, Numer kosztuje 2 centy.

Tygodnik Niedzielny

Pismo ludowe.

Prenumerata kwartalna 20 cent z przes. poczt 35 ct. którą dodaje się do prenumeraty na *Gazetę Narodową*.

Z pamiętnika przyjaciela.

II.

Słońce lipcowe dopiekało dosyć mocno, chociaż już było dawno popołudniu. Cisza była zupełna w powietrzu, przerywana jedynie głosem żywo przy żniwie rozmawiających pracowników. Drogą wiodącą do powiatowego miasteczka szło dwóch ludzi z węzełkami na plecach. Jeden był wzrostu małego, zgarbiony, z dobrze szpakowatą brodą. Kaftan przewiesił przez ramię, u pasa wisiało mu dwoje nożyc na tasiemce, a żelazko dosyć ciężkie dźwigał w zawiniątku. Był to biedny krawiec starozakonny, chodził od dworu do dworu, od dziedzica do ekonoma, od księdza do diaka i arędarza, dopytując się o robotę. I za małą zapłatę tu przenicował jakiś tużurek, tam ponaprawiał, co się podarło, lub uszył jaką kamizelczynę, kapotę lub szarafan żydowski. A teraz zdążał właśnie do odległej jeszcze o milę wioski, gdzie się spodziewał znaleść robotę.

Towarzysz jego podróży, był to człowiek młody, 22 lat mający. Ubranie na sobie miał z płótna żaglowego, na głowie kapelusz słomiany, a na plecach skórzaną czarną tornistrę, rzemykami po pod pachę przymocowaną; w ręku zaś niósł trzcinę, obwleczoną skórą i z potężną ołowianą gałką. Twarz młodzieńca była ospowata, wcale nie ładna, ale szlachetny wyraz i łagodny uśmiech czynił ą przyjemną.

Już dwie mile szli z sobą razem z miasteczka, w którem mieszkał krawiec. Podróżny miał niektóre suknie do naprawy i dopytawszy się krawca, który mu na poczekaniu wszystko zrobił, wdał się z nim w rozmowę, która tak żydkowi przypadła do smaku, iż gdy się dowiedział w którą stronę się udaje obcy gość, zebrał swoje manatki, cały swój warstat i ruszył wraz z nim, aby w kilku wsiach, w których już od dawna nie był, szukać roboty. Miał on towarzysza swego za wędrującego rzemieślnika, i podczas całej pieszej podróży przez *wy* go tytułował. Dopiero przygoda, której doznał jego towarzysz w ostatniej wiosce, inne mu o nim dała wyobrażenie, i już odtąd mówił do niego p a n i c z u.

— A ja paniczowi zaraz mówiłem, że od chałupy tego hałaburdy trzeba z daleka; ja mu raz kamizelkę robiłem, tom się wyrzekł i zapłaty i uciekłem z domu — mówił w tej chwili stary krawiec.

— A ja właśnie tam poszedłem, aby tego hałaburdę poznać — odparł młodzieniec. — Chociaż gdyby nie wy, panie Judku, to byłbym ciekawość moją drogo przepłacił.

Zabawna to była awantura, o której wspominali. Nasz młodzieniec z upału lipcowego spragniony, wstąpił do porządnie zabudowanej chaty diaka, aby prosić o sprzedanie garnuszka kwaśnego mleka. Zastał tylko diaczychę w domu. Uprzejma gospodyni starłszy ławkę fartuchem, prosiła go by usiadł, a sama poszła do piwnicy, by wyszukać dobrze zsiadłego mleka, i przynieść podróżnemu.

Młodzieniec przypatrywał się obrazom, porozwieszanym po ścianach, wyszłym z pod pęzla jakiegoś wiejskiego malarza chłopka, a widząc w kącie na półeczce leżące grube książki, sięgnął po jednę i zajrzał na tytuł, ciekawy będąc, jaka to literatura w tej chacie przebywa.

W tem skrzypnęły drzwi, podróżny się obejrzał myśląc, że gospodyni wraca z piwnicy z tak upragnionem mlekiem. Ale w progu zupełnie inna pojawiła się postać.

Sążnisty chłop o szerokich plecach, opasłej twarzy, w długiej po kostki kapocie z grubego sukna, stał w progu; długie włosy na głowie miał rozczochrane i przysypane wielką ilością siana i słomy. Niedbale ziewał przecierając oczy ze snu. W tem nagle spostrzegł obcego w izbie, silniej więc jeszcze i gwałtowniej przetarł lepiące mu się małe oczy, wytrzeszczył je potem na przybysza, oglądnął się po wszystkich kątach chaty, a spostrzegłszy, że nikogo nie ma z domowych, jeszcze raz wypatrzył się na młodzieńca. I teraz dopiero spostrzegł w jego ręku psałterz zdjęty z półki!

I jak lew na łup swój, tak jednym susem rzucił się na obcego a nim ten zdołał stanąć do obrony, już go porwał silnie za barki, a wstrząsając nim gwałtownie, wołał gromowym głosem:

— Złodzieju, złapałem cię.

Nasz podróżny już na pierwszy widok diaka poznał, że na pół jeszcze pijany wylazł gdzieś ze słomy, gdzie trochę przespać się musiał. Widział również z zadziwienia i wpatrywania się w niego diaka, że tu bez jakiejś przeprawy się nie obejdzie, lecz oczekując prędkiego już powrotu gospodyni z mlekiem, spodziewał się, iż rzecz się zaraz wyjaśni. Teraz dopiero ujrzał się w wielkiem niebezpieczeństwie.

— Człowieku! czego chcecie odemnie! Jam przyszedł mleka kupić. Gospodyni poszła do piwnicy. Tu mi zostać kazała — wymawiał pośpiesznie tłumaczącym się tonem podróżny, lecz diak nie zważał na te przemowy, ale piorunującym głosem krzyczał dalej:

— Świętą księgę cerkiewną, psałterz ukradłeś! do kryminału pójdziesz, złodiuho.

I wyrwał mu z rąk psałterz, a trzymając go jedną ręką za barki i trzęsąc nim ciągle, w drugiej wzniósł do góry książkę jako *corpus delicti*.

W tem wróciła gospodyni z piwnicy, niosąc garnuszek z mlekiem. Zdziwona stanęła, próg przestąpiwszy.

— Aftanazy! co ty robisz! Czyś jeszcze pijany?... — zawołała wreszcie na męża. — Puść ich! Ot, mleko im przyniosłam.

— To złodziej! psałterz mi ukradł, złapałem go — odparł jej krzycząc diak i wywijając książką w powietrzu.

W podróżnego duch wstąpił, gdy nadeszła diaczycha i upomniała się za nim. A choć i ona teraz po zaskarżeniu mężowskiem nieufnem na niego spoglądała okiem, nie tracił jednak kontenansu, lecz zaczął już nie przed diakiem, lecz przed diaczychą usprawiedliwiać się i tłumaczyć zkąd to w jego ręku przydybano tę fatalną księgę.

— Bo to widzicie — mówił — ja student jestem, to mnie do książki zawsze ciekawość bierze. A tu taką dużą księgę ujrzałem, więc chciałem się popatrzeć, o czem wasz pan mąż czytać lubi!

— Ta puśćże podróżnego Atanazy! — przemówiła diaczycha a przystąpiwszy bliżej, porwała za rękę męża, który trzymał dotąd za barki obcego.

Jakoś widać i diak zmiękł trochę, bo mało się opierał, choć go żona nawet dość silnie odtrąciła.

— Student! student, hoho, to fałsz! — odezwał się dopiero po chwili. — Hoho! znam ja się na studentach. Broda mu zarasta, wąs, a student, powiada. Zobaczymy. A umiesz ty czytać?

— Umiem — odparł pokornie zapytany.

— Więc czytaj w psałterzu.

Na szczęście podróżny umiał trochę czytać po rusku, więc zaczął powoli czytać, myląc się często, a diak uradowany, że mu mógł swoją wyższość ukazać, poprawiał go ciągle.

Lepszy humor przyszedł więc z tąd i diakowi, i jakaś otucha wstąpiła i w podróżnego.

— A masz ty zaświadczenia? — zapytał go diak już głosem łagodniejszym.

Podróżny wyjął z zanadrza papiery i jedno z licznych swych zaświadczeń, które nosił z sobą, absolutorjum z kursu filozoficznego, podał egzaminatorowi w siermiędze.

Diak wziął papier w obiedwie ręce, przypatrywał mu się z wszystkich stron, nareszcie zaczął sylabizować, ale jakoś mu to nie szło.

— To po łacinie — odezwał się podróżny, chcąc go wybawić z kłopotu.

— A tak, po łacinie — potakiwał poważnie głową diak. — A umiesz ty *Ojcze nasz* po łacinie?

— Umiem — odparł śmiało podróżny.

— Więc mów!

Podróżny zaczął mówić prędko: *Pater noster, qui es in coelo*, i t. d., ale diak mu szybko przerwał:

— Stój, stój! A nie przeżegnałeś się, poganinie!... a pacierz na kolanach się mówi, bezbożniku! — wołał coraz mocniej w gniewie diak, i porwawszy za rękę przybysza, zmusił go prawie do uklęknięcia.

— Teraz się przeżegnaj i mów: *Pater noster*!

Nasz młodzieniec przeżegnał się i powoli już i z pokorą mówił: *Pater noster*... a nim jeszcze skończył, już diak zawołał na niego:

— Po niemiecku mów teraz pacierz!

Jakoś niemiecki pacierz nie tak już gładko szedł młodzieńcowi. Nie modlił on się nigdy do Boga tym językiem, więc chociaż niegdyś katechizmu się ucząc niemieckiego, wyuczyć się musiał i modlitwy pańskiej, mylił się teraz ciągle. Diak zaś kiwał głową i powtarzał półgłosem:

— Łacinnik, dobry łacinnik, ale zły Niemiec.

Nie dał mu nawet dokończyć idącej tak jak po grudzie modlitwy, lecz zawołał znowu:

— Po polsku, po polsku, panie studencie, pacierz mów!

Naturalnie, że najgładziej mu płynęła polska modlitwa. Diak z zadowoleniem kiwał głową i powtarzał znowu półgłosem:

— Dobry Łacinnik, zły Niemiec, dobry Polak, a mów jeszcze po rusku pacierz, niech widzę czyś i dobry Rusin!

Lecz w tem był sęk największy. Podróżny w życiu swojem nie mówił nigdy pacierza po rusku, ani go się nigdy nie uczył; więc zaczął teraz pokornie prosić się i tłumaczyć, iż w szkołach ruskiego pacierza nie uczą.

— Jakto, pacierza ruskiego nie uczą?... a po cóż wy do szkoły chodzicie?...

— Bardzo chętnie byłbym się wyuczył pacierza ruskiego — powtarzał uniewinniając się młodzieniec, ale to już nie moja wina, nie uczono nas.

— A czy masz ochotę nauczyć się? — zapytał diak groźnie.

— Mam wielką ochotę — odpowiedział zapytany pokornie i podnieść się chciał z kolan.

— Klęcz dalej i powtarzaj za mną, a nauczę cię — zagrzmiał głos basowy tak potężnie, że młodzieniec znowu ukląkł.

Diak głośno począł mówić pacierz po rusku, a klęczący za nim nieśmiało powtarzał.

Gdy wypowiedział Ojcze nasz, diak przyszedł i do Pozdrowienia Pańskiego i do Wierzę. Skończywszy, chciał znowu podnieść się z klęczków podróżnik, ale diak zapowiedział mu z góry, że potąd klęcząc musi powtarzać za nim pacierze ruskie, dopokąd ich się na pamięć dobrze nie wyuczy.

— Czego w szkole zaniedbano, — dodał — to ja naprawić muszę. A jakbyś nie chciał paniczu, to ci tak skórę wyłoję, że popamiętasz ruski miesiąc. Hoho, u mnie wszystkie chłopcy w szkole umieją wybornie pacierz i wszystkie modlitwy.

Począł więc znowu młodzieniec powtarzać za diakiem bezmyślnie pacierze słowo po słowie, a w duchu rozmyślał, jakby tu się z tej gorącej łaźni wydobyć. Bo kilkanaście razy przeszedłszy, choćby nauczył się był pacierza, zawsze jeszcze była obawa, iż diak i innych modlitw cerkiewnych uczyć go zechce. Oglądał się za diaczyhą, czy ta nie przyjdzie mu w pomoc, ale ona przy ognisku zajęta była, i tylko z boku spoglądała na męża i przybysza.

Miała bowiem tak wysokie wyobrażenie o rozumie książkowym swego męża, że odkąd tenże rozpoczął egzamin z obcym gościem, ona usunęła się w kąt i już więcej nie wtrącała się do nich, zadowolona będąc, że przynajmniej owo posądzenie o kradzież parastasu za wdaniem się jej upadło.

Właśnie gdy młodzieniec bił się w duchu z myślami, co tu robić, i mierzył odległość do drzwi, wymiarkowując, czy nagłym susem nie udało by się mu uciec — w oknie otwartem izby ukazała się głowa w barłydku z siwą brodą. Postrzegł ją pierwszy podróżnik, i litośnie spojrzał ku oknu!

— Panie Atanazy — a co będzie? Niezapłaciliście mi za kamizelkę — przemówił wreszcie Judku krawiec, który czekając od dawna na towarzysza swej podróży, podsunął się wreszcie pod chatę, a słysząc wewnątrz krzykliwy, gruby głos diaka, postanowił przyjść w pomoc młodzieńcowi. Rozpatrzywszy się przez okno co się dzieje, zaczepił diaka, wiedząc dobrze, że na takie upomnienie hałaburda rzuci się za nim.

Atanazy spostrzegłszy krawca, poskoczył istotnie ku drzwiom wołając na całe gardło:

— A złodzieju, żydzie! ukradłeś mi kawałek sukna i kawałek podszewki, a poczekaj-no, dam ja ci teraz zapłatę!

Żyd nie czekał za oknem, lecz szybko zemknął i skrył się między chałupami. Tymczasem zaś podróżny, nie chcąc pić już i mleka, którem go diaczycha częstowała, porwał za laskę i kapelusz i zaułkami chałup pobiegł za wieś, gdzie po chwili pojawił się i zadyszany Moszko.

Otóż tę to pocieszną przygodę opowiadali sobie nawzajem nasi dwaj podróżni, gdy tuż za nimi zaturkotał wóz na drodze. (C. d. n.)

Jak to u nas bywało za dawnych polskich czasów.

Ksiądz Prusinowski umieścił w „Wiarusie“ ciekawe opowiadanie Spychaja, które wam tu przytaczam, gdyż zawiera czystą prawdę o dawnych polskich czasach.

„Jeżdżąc po targach i jarmarkach, napatrzyłem się nieraz, moi mili ludkowie, jak jakieś obiboki przenajęte

(od kogo? powiadać wam nic trzeba) pobratawszy się z wami przy kieliszku i nakręciwszy mowę do dawnych czasów, cudosne rzeczy wygadują; jak to pan dawniej pańszczyzną, zaciągiem, darmochami, podwodami lud biedny dręczył, katował, i jak wy teraz w porównaniu z dawniejszą niewolą, jesteście jak w raju, że macie darowane grunta, (czyim kosztem, tego ci ludzie nie wspominają), że nikt teraz palca na was skrzywić nie może; słowem, że wam do zupełnego szczęścia nie braknie, chyba ptasiego mleka! I wy dobroduszni ludzie w waszej prostocie tym zwodzicielom dajecie ucha, bo z was mało już kto dawniejsze polskie zapamięta czasy, bo myślicie, że ci przyganiacze lepiej to znać muszą, że wam dobrze życzą a nie domyślacie się wcale tego, że oni to czynią dla tego, aby dzieci jednej matki Polski pomiędzy sobą poważnić, a rozerwane wewnętrzną rozterką łatwiej pojedynczo ze wszystkiego obedrzeć i wygubić. Otóż ja stary Tomasz, sięgający już ósmego krzyżyka, opowiem wam, jak to było u nas za dawnych polskich czasów. Aby zaś słowa moje wiarę u was znalazły, opowiem wam krótkiemi słowy moją historję. Urodziłem się w roku 1770. we wsi biskupów poznańskich Winnejgórze, którą wieś później Napoleon dał Generałowi Dąbrowskiemu, owemu polskiemu wiarusowi nad wiarusami. Rodzic mój, Michał Spychaj był w tej wsi pośledników, czyli jak gdzieindziej nazywają półrolnikiem, miał się niczegó i był w wielkich łaskach u księdza kapelana, jeżeli dobrze baczę, nazwiskiem Cześnicwicza, który go często posyłał z rozmaitą żywnością i drobiem dla kuchni biskupiej do Poznania. Miałem właśnie 10 lat, gdy ksiądz biskup Okęcki wydał list pasterski do wszystkich parafii swojej dyecezji, aby wszystkie dzieci wiejskie i miejskie od 7go do 14go roku do szkółek posyłano. — Gdy ksiądz proboszcz u nas list ten biskupi z ambony przeczytał i dodał, że w Winnejgórze organista Domosławski nazajutrz po św. Grzegorzu szkołę otworzy, świętej pamięci matka moja, Panie świeć nad duszą jej, ogarnąwszy mnie jak najschludniej i kupiwszy mi w Poznaniu u księgarza Krzysztofowicza elementarz, — zaprowadziła mnie, jak mówiła, do derektora. Był to miechodmuch z miechodmuchów, a że rodzice moi nazywali go kumotrem, że siostrę moję do chrztu świętego podawał, więc mnie wziął zaraz na swoję porękę i napędzał częściej niż inne dzieci do nauki; najwięcej dyscypliną, którą przy sobie zawsze nosił. Z początku szło mi jak z kamienia: com też ja się nad tym mizernym elementarzem, napocił, ile razy przy łuczywku naślepiał! Ale czegoż chęć szczera nie dopnie; jakoż nie wyszło pół roku, a już niczego sylabizowałem, a w rok nauczyłem się niezgorzej czytać i cokolwiek pisać. W ciągu drugiego roku, nasz organista, któremu byłem bardzo na rękę, wszystkim rozpowiadał, że ma takiego uczuia, co umie prawie tyle, co on sam.

Jakoż umiałem dobrze czytać i pisać, nie tak jak teraźniejsi mądrzy ludzie gryzmolą, ale charakterem mospanie, okrągłym, wyrazistym, jakby wyrąbał: rachowałem nieźle, a katechizm i ministranturę do Mszy św. trzepałem jak na kołowrotku. Ogrodowy biskupi nauczył nas starszych szczepić i sadzić drzewa. Ksiądz wikary obok artykułów Wiary świętej i przepisów moralności udzielał nam rad zbawiennych, tyczących się zdrowia, obchodzenia się z inwentarzem, chodowania pszczół i t. d. Nic nam tylko nie wspomniał o spadających gwiazdach, o kometach i planetach, o których dzisiejsi nauczycieli dzieciom prawić zwykli, i dobrze pono zrobił, panie świeć nad duszą jego. Co rok, a czasem i dwa razy w roku Rektor szkół wydziałowych, wtenczas ksiądz Przyłuski, bardzo uczony, stryj Przewielebnego dziś nam szczęśliwie panującego Arcypasterza, objeżdżając wszystkie szkoły w swym obwodzie przyjeżdżał także i do Winnejgóry. Jedną razą przybył wraz z nim kapelan biskupi ksiądz Zmychanowski, dopytując się, który się ze wszystkich uczni najlepiej uczy. A gdy mu nauczyciel powiedział, że Tomasz Spychajczak, zaraz mnie zawołał do siebie, kazał przynieść żupanik, kontusik, a nawet i koszulę, buty, zgoła wszystko i ubrać mnie jak cacko. Potem zawoławszy moich rodziców, rzekł im, że jest wolą Biskupa, abym najpilniejszego ucznia ze szkoły winnogórskiej, zabrał ze sobą do Poznania na dwór jego, gdzie mu już los obmyśli. Ale, biedni, zawiodła ich nadzieja, jak to zaraz obaczycie. Gdym przyjechał do Poznania, stawiony byłem przed księdza Biskupa, który mnie pogłaskawszy po czuprynce, rzekł łaskawie: Będziesz do usług księdzu kapelanowi, u którego gdy się przećwiczysz nieco w łacinie, dam cię do seminarjum na księdza.

Muszę wam też powiedzieć cokolwiek o tym kapelanie księdzu Zmychanowskim, bo godzień tego, aby go wszyscy Polacy bliżej poznali. Pochodził z Miejskiej Górki i był synem biednego rzemieślnika. Ukończywszy początkowe szkoły, wstąpił do seminarjum w Poznaniu, gdzie przez pilność i rzadką zdatność tak się księżom profesorom zalecił, że go Biskup Okęcki wziął do siebie na kapelana i zdał na niego trudną pracę spisania i ułożenia wszystkich papierów kapituły poznańskiej od najdawniejszych czasów. A były tam ogromne stosy papierów i pargaminów od niepamiętnych lat nagromadzone, popisane takiemi dziwnemi nieczytelnemi gzygzakami, żeby sobie kto inny oczy był z głowy wypatrzył, nimby był te cudaki przeczytał. Jak się tedy mój księżyna koło tych stosów zawinie, w kilka lat (rozumie się niezmordowanej pracy) ułożył tak dokładny rejestr wszystkich tych dokumentów i praw kapituły, w kilku ogromnych księgach, jego własną ręką spisanych, że jakkolwiek później rozumni ludzie bywali na świecie, żaden i między Niemcami nawet, co się to za najmędrszych mają, nic podobnego nie zrobił. Toć też gdy teraz zwierzchność duchowna czy to w jakiej sprawie, czy też w innym jakim interesie, objaśnienia lub dowodu potrzebuje, prosto jak w dym idą do owych ksiąg księdza Zymchanowskiego po radę, gdzie wszystko znajduje się jasno wypisane jak na dłoni. Jużcić jam też bywalec, zaglądałem nieraz także do tamtych niemieckich porządków, a wyznać muszę na pochwałę księdza Zymchanowskiego, że ani w Wrocławiu, ani w Dreźnie, ani w Wiedniu, choć te Niemcy myślą, że wszystkie rozumy pojadły, i że nas dopiero teraz porządku nauczyli, takiego dokładnego spisu w starych papierach nigdzie nic znalazłem. Wiara! baczność! prezentuj broń! przed księdzem Zymchanowskim! Wieczna niech będzie jego pamięć pomiędzy wszystkimi dobrymi Polakami.

Otóż muszę wam się pochwalić, że ja Tomasz Spychajczak dzwoniłem na to piękne kazanie. Porządkowałem i czyściłem zakurzone szpargały, a nawet przepisywałem na czyste rzucone na papier myśli, lub też pisałem, gdy mi ksiądz kapelan w pióro dyktował. Przytem uczyłem się co dzień kawałek z gramatyki narodowej i tłómaczyłem sobie po trosze z łacińskiej książki, a ksiądz kapelan choć sam jak mól siedział zatopiony w swych papierach, przesłuchiwał mnie codzień mi zadanych pensów. Tak już 18. rok skończywszy, miałem wstąpić do Seminarjum i oblec sukienkę, kiedy razu pewnego córka biskupiego kucharza, gdyśmy wychodzili z kościoła, spojrzawszy mi bystro w oczy swemi czarodziejskiemi ślepkami, tak mnie urzekła, że wszystkie moje nadzieje naraz przepadły. Napróżno ks. Zymchanowski przekładał, że sobie los popsuję, że zmartwię moich biednych rodziców; nic to nie pomogło, nię

pomogło, nie potrafił mnie już odczarować. Oddano mnie zatem do kredensu księdza biskupa, a że byłem pilny, zawsze trzeźwy, żwawy i wierny i miałem, jak to mówią cokolwiek oleju w głowie, zrobiono mnie po kilku leciech służby marszałkiem dworu, chociaż o ten urząd kilku szlachty karki sobie łamali.

Nowiny ze świata.

Moskale pokonawszy Turków, zmusili ich do zawarcia pokoju w San Stefano pod samym Konstantynopolem. Ale pokój ten został tak ułożony, że państwo tureckie przestaje prawie istnieć, a natomiast narody tam mieszkające popadłyby zupełnie w niewolę moskiewską, i potęga Moskali wzrosłaby przez to tak bardzo, żeby zagrażała monarchii cesarza austrjackiego, tudzież Anglikom na morzu Śródziemnem. Minister Andrassy w Wiedniu, chcąc zawsze jeszcze po dobremu przyjść do końca z Moskalem, zawezwał go przed radę z mocarstw europejskich złożoną, która się nazywa kongresem albo konferencją. Na tej radzie umowa turecko-moskiewska miała przyjść pod rozprawę i doznać takich zmian, jakieby były pożądane w interesie monarchii austrjackiej i Anglji. Moskal z początku przystawał na zwołanie takiej rady, ale gdy zwąchał pismo nosem, że mu chcą ukroić jego zdodycze, odmówił, i kongres już nie przyjdzie do skutku. Zanosi się tedy na wojnę z Moskalem. Anglja uzbraja wojska i powołała już pod broń rezerwy, które dnia 19. b. m. mają się zebrać i stanąć do szeregu. W Austrji na przygotowanie do wojny sejm najwyższy uchwalił 60 miljonów guldenów. Car moskiewski nie boi się Anglji, bo Anglja jest tylko straszną na morzu, bo ma dużo wielkich okrętów, ale boi się wojska austrjackiego, aby nie wystąpiło do boju razem z Anglikami. Wysłał tedy z Petersburga do Wiednia jednego z największych swoich powierników, jenerała Ignatiewa, aby obiecując gruszki na wierzbie, odciągnąć cesarza austrjackiego od przymierza z Anglikami. Ignatiew siedział w Wiedniu kilka dni, namawiał ministra Andrassego, obiecał Austrji odstąpić wielki kawał ziem tureckich, był nawet u cesarza na obiedzie, ale niczego nie wskórał i odjechał z kwitkiem. Po jego odjeździe do Petersburga słychać, że Moskale gromadzą znaczne wojska w Rumunji a nawet chcą Rumunję zająć, aby tym łatwiej na wypadek wojny mógł wtargnąć na Bukowinę i do Siedmiogrodu. Rumuni wysłali jednego ze swoich ministrów do Wiednia z prośbą, aby cesarz austrjacki wziął ich w swoją opiekę. Niezawodnie jeżeli przyjdzie do wojny z Moskwą, wojska nasze pójdą do Rumunji, a oprócz tego do Polski, aby odepchnąć hordy moskiewskie w dawne ich ziemie. Tymczasem Moskale mszczą się na Polakach. W sobotę aresztowali kilkadziesiąt obywateli w Warszawie — bo na złodzieju czapka gore. Cesarz niemiecki radby więc pomagać Moskalowi, bo to jego szwagier, ale gdyby się tylko ruszył, to ma na karku Francuzów, którzy nie mogą Niemcom darować klęski zadanej przed 8. laty, i czekają tylko na chwilę sposobną, aby napowrót odebrać stracone wówczas ziemie.

Rada państwa w Wiedniu obradowała zeszłego tygodnia nad nową ustawą o kwaterunku wojsk. Dawno już czuto potrzebę lepszego płacenia za kwaterunek żołnierzy w koszarach i po domach, bo gminy bardzo na tem cierpiały. Nasi posłowie też: Kamiński ze Stanisławowa, Czerkawski z Tarnopola, Grocholski z Podola i Wajgel z Krakowa, starali się poprawić nową ustawę, która jednak ma to złe w sobie, że przynosząc ulgę gminom, wkłada większe ciężary na kraj, bo każe, aby Wydział krajowy dopłacał gminom za kwaterunek. Posłowie wzmiankowani sprzeciwiali się temu i dowodzili, że wprawdzie słuszną jest rzeczą, aby gminom dopłacano, ale pieniądze na to potrzebne powinna dawać kasa cesarska z Wiednia, bo całe wojsko jest cesarskiem. Z księży ruskich, którzy zasiadają w Radzie państwa, żaden się nie odezwał w obronie funduszu krajowego, jakby im gębę zamurowało, a podczas wyborów to gardłują, że nikt inny tylko oni są obrońcami ludu i włościan. Tymczasem starają się oni o poselstwo tylko w tym celu, aby pobierać dziennie po 10 guldenów na utrzymanie w Wiedniu i robić prywatne interesa.

Po uchwaleniu ustawy kwaterunkowej Rada państwa zabiera się do uchwalenia nowych ustaw podatkowych. Mała jednak jest nadzieja, aby te ustawy prędko uchwalono. A jeżeli przyjdzie do wojny z Moskalem, to trzeba będzie myśleć o czem innem, a nie o uchwalaniu ustaw podatkowych. Prawda, że monarchii cesarskiej potrzeba dużo pieniędzy, ale pieniędzy tych nie nabierze z próżnego choćby niewiedzieć jak podwyższał podatki. Trzeba owszem zmiejszać wydatki, a największe miliony idą na utrzymanie wojska i sprawianie coraz to nowszej broni, bo mamy takich sąsiadów jak Prusak i Moskal, co od stóp do głów uzbrojeni, zmuszają i państwo austryackie do ciągłego pogotowia wojennego i do wielkich na to wydatków. Więc pierwej trzeba koniecznie i na zawsze poskromić największego wroga — Moskala, a potem nie trzeba będzie tyle wydatków robić na wojsko, przeto też i podatki będą mogły być zmniejszone.

Rozmaitości.

O zakładaniu żywych płotów. (C. d.)

I.

Żywe płoty mają rozmaite przeznaczenie, jako to: ogrodzenia podwórza, ogrodu, pola, traktu, albo też jedynie dla ozdoby lub zasłonienia przedmiotów nieprzyjemnie w oczy wpadających.

a) Do ogrodzenia podwórza, żywe płoty są często niewłaściwe i niedostateczne, bo zbyt wystawione są na uszkodzenie od bydła, i źle bronią od złodziei. Gdzie zaś ani jednego ani drugiego obawiać się nie trzeba, tam żywe płoty są pożądane, gdyż dają przyjemny widok, a ptactwu domowemu ochronę od ptaków drapieżnych. Potrzeba zaś tu wyższych i dychtowniejszych żywych płotów jak zwyczajnie, a przeto i odpowiedne do tego gatunki drzew obierać należy.

b) Do ogrodzenia ogrodów są żywe płoty najstosowniejsze, częścią, że z zewnątrz więcej, a z wewnątrz zupełnie ochronione są od przygryzania przez bydło, częścią, że inne ogrodzenia mniej przyjemny dają widok, a nakoniec, że żywe płoty dozwalają wolnego przeciągu powietrza, co dla owoców i ogrodowin bardzo jest pożyteczne. Od miejscowych okoliczności zależy, czy płoty te mają być wysokie lub niskie, i jakich przeto rodzajów drzew i krzewów użyć do nich należy. Ażeby nie zwabiać ptaków tyle szkodliwych dla owoców i ogrodowin, nie trzeba na ogrodzenie takowe używać drzew i krzewów jagody wydających.

(Dok. nast.)

Wydawca, właściciel i redaktor odp. Jan Dobrzański. Z drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla.